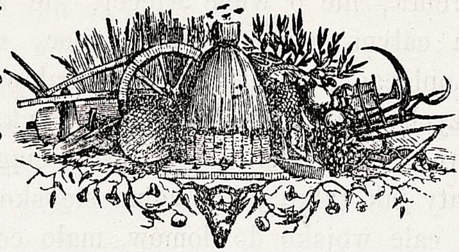
Tom X. Nr. 13.

1. Maja 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polacy w Danii.

Wszak wiecie moiściewy kochani, że teraz nie tylko w Polsce toczy się wojna, ale także i daleko za granicą za niemieckim krajem, w Danii leje się krew, a siła wojska z jednej strony niemieckiego, a z drugiej duńskiego bije się ze sobą. Wiecie o tem bo i z naszych galicyjskich pułków wiele narodu tam się bije z rozkazu cesarskiego. Jak się tam ta wojna skończy Bogu jednemu wiadomo, a jeżeli wam o tem tutaj przypominamy to tylko dla tego aby wam powiedzieć, że nie pierwszy to raz biją się Polacy w tym zamorskim kraju co się Danią nazywa. Za dawnych czasów przed dwustu laty za panowania króla polskiego Jana Kazimierza bili się tam nasi pod dowództwem wielkiego Stefana Czarnieckiego, o którym to dawniej już nieraz pisaliśmy wam w Dzwonku, ale bili się oni wtenczas broniąc Duńczyków przeciw Szwedowi. Dawnemi czasami inaczej ludzie prowadzili wojny jak dzisiaj. Znali już wprawdzie działa i karabiny ale te nie były wcale tak niebezpieczne jak dzisiejsze; twierdz takich straszliwych nie umieli

jeszcze budować, a co najważniejsza mieli daleko mniej wojsk bo mniej było pieniędzy. Dziś chociaż tam pieniędzy właściwych, złota i srebra, nie o wiele więcej, ale za to pieniędzy papierowych na całym świecie większa moc, mają więc mocarze z czego opłacać żołd tysiącom jenerałów, pułkowników i oficerów niższych stopni, mają z czego wykarmić i odziać całe miliony prostych żołnierzy, stojących ciągle pod bronią. Przed paręset laty jak tylko jaka wojna się skończyła, rozpuszczali królowie całe wojsko do domów, mało co bardzo zostawiając w twierdzach i na straży przy sobie, a jak przyszło do nowej wojny, to królowie na nowo zwoływali wojsko z domów, obdarzając ich dla zachęty różnemi dobrodziejstwami czyli przywilejami szlacheckiemi, bo tymi żołnierzami stającymi na każde zawołanie królewskie pod chorągwie, to właśnie była szlachta. Było tak wszędzie, było tak i u nas w Polsce. Przez długie wieki pilnował włościanin tylko roli a szlachta sama znosiła krwawe trudy i znoje w ciągłych wojnach.

Wojny te wszystkie są opisane w starych xiążkach, a tę wojnę polską w Danii najpiękniej opisał pan Pasek który służył w wojsku polskiem pod sławnym Stefanem Czarnieckim, trzymając się zawsze tego wielkiego wodza, zażywając z nim i biedy i rozkoszy. Pan Pasek opisał tak pięknie Danię, że przepiszemy tu w krótkości niekóre części jego historyi, głównie dla tego, że w miejscach gdzie się przed dwustu laty krew polska lała, pod Koldyngą, Fryderycyą na wyspie Alzen i dzisiaj także obficie krew polska płynie, bo biją się tam jak wiecie także polacy w wojsku cesarskiem i pruskiem. Że jednak nic nie ma gruntownie stałego na ziemi, przeto po dwustu latach, niektórzy przyjaciele Duńczyków zmienili się w nieprzyjaciół, a z nieprzyjaciół porobili się przyjaciele. W roku pańskim 1658 i 1659 Polacy, Austryacy i Prusacy bili się w obronie Duńczyków rugując Szwedów ze Szlezwigu i Jutlandyi; dziś w tych samych miejscach garstka Duńczyków broni się przeciw dziesięćkroć silniejszym austryacko pruskim wojskom. Szwed który był dawniej Duńczyków nieprzyjacielem nie pomaga wprawdzie swojemu sąsiadowi, którego dziś jest przyjacielem, ale na ochocie mu nie zbywa, i pomoc przyobie-

cuje. Owoż onego czasu za panowania króla polskiego Jana Kazimierza, Frydryk III król Duński wydał Karolowi Gustawowi, królowi szwedzkiemu wojnę, chcąc się na nim pomścić za dawniej wyrządzone Duńczykom krzywdy, i obrał ku temu najstosowniejszą chwilę, bo Szwedzi prowadzili właśnie wojnę z Polską. Duńczycy wpadli w nieobecności króla szwedzkiego do jego państwa i zajęli już wielką część kraju, gdy tym czasem Gustaw Karol wycofawszy wojska swe z Polski nie tylko że wygnał ich ze Szwecyi, ale nadto większą część Danii opanował. Król Duński udał się więc w prośby do króla Polskiego o pomoc. Jakoż tenże wysłuchał jego prośby i wysłał w sierpniu r. 1658 Stefana Czarnieckiego na czele 6000 Polaków w pomoc Duńczykom. Wojsko polskie udało się więc że swoim dzielnym wodzem, który już przedtem niejednokrotnie przetrzepał nieprzyjaciół swej ojczyzny, w pochód przez kraje pruskie i inne niemieckie ku krajom duńskim. Wojsko cesarskie (austryackie) i brandenburskie (pruskie) posłane było także Duńczykom na pomoc. Pan Pasek, który, jak wam już wyżej powiedziałem, zawsze przez cały czas swojej wojaczki walczył pod dowództwem Czarnieckiego, pojechał tam także do Danii i oto z jego opisu tego kraiku przepiszemy co nieco, abyście się dowiedzieli jak to tam w tej Danii przed dwustu laty wyglądało. Że to jednak pan Pasek bardzo obszernie wszystko opisał, więc tylko w krótkości słowa pana Paska tutaj powtórzymy.

Oto pisze pan Pasek: kiedyśmy wychodzili z Polski, było wiele namyślań, trwożyło nie jednego że to iść za morze, iść tam gdzie noga polska nie postała. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów aby tam nie chodzić, bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mnie miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imie Boskie wziąwszy na pomoc, szedł śmiele tam gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiem i macierzyńskiem, obiecując gorąco Majestatu Boskiego błagać i upewniając mnie, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej. Poszedłem więc. Przechodząc granicę zaśpiewaliśmy nabożne pieśni, konie zaś po wszystkich pułkach, uczyniły okrutne parskanie, aż serca przy-

rastało bo to był dobry znak. Przeprawiwszy się przez rzekę Odrę weszliśmy do Prus gdzie nas wcale dobrze przyjmowano i prowianty regularnie nas dochodziły. Przebywszy ogromny kawał drogi weszliśmy do Danii. W Haderschlewen stanął nasz wojewoda Czarniecki zimować z dwoma pułkami, inne stały w innych okolicznych miasteczkach. Przez całą zimę czaty nasze ścierały się ze szwedzkiemi. Staliśmy w kraju bardzo bogatym. Zboża, bydła i owiec była wielka obfitość, wińsko złe ale miody dobre, drew tylko mało, bo tu ziemią rzniętą i wysuszoną palą, z której węgle tak dobre jak dębowe. Jeleni, sarn i zajęcy mnóstwo. Wilków nie ma, bo jest tam w Danii takie prawo, że jak wilka obaczą, powinni wszyscy wychodzić z domów, tak po miastach jakoteż i po wsiach i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go umorzą albo utopią, albo złapią, a nie obdzierając go, we skórze na wysokiej szubienicy albo na drzewie obwieszają na grubym łańcuchu i tak długo wisi póki kości staje. Nie tylko rozmnożyć ale i przenocować się wilkowi nie dadzą.

Lud w Danii nadobny: białogłowy gładkie i bardzo białe, stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki. Sposób życia ich ucieszny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą (bo tam tak białogłowa młóci cepem jak i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem, to posiędą na słomie i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często robią a po kęsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszej kropli krwi nie popsują, ale ją wytoczą w naczynie, namięszawszy w to krup, tem kiszki onego bydlęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiej misce koło głowy onegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawiają przy każdym obiedzie i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach szlacheckich tak czynią, i mnie częstowano tem do uprzykrzenia,

ażem powiedział, że się Polakom tego jest nie godzi, bo by nam psy przyjaciołmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, ale kominy szerokie, przy których krzeseł stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadawszy to się tak ogrzewają albo w dołek na środku izby węgli nasypią, rozedmą i to się tak żarzy i ciepło sprawuje.

Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtem bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze niżeli u naszych polskich kalwinistów, bo są ołtarze i obrazy po kościołach.

Zdobywszy — pisze pan Pasek dalej — pod wodzą Czarnieckiego szturmem Koldyngę, mieliśmy jeszcze wyspę Alzen na przeszkodzie, która że nam w tyle zostawała, więc nam czeladź na czatach porywano bo tam załoga była wielka. Przeszło koło niej wojsko brandenburskie ale uderzyć nie śmieli. Wojewoda tedy pojechał w trzysta koni na rozpatrzenie, a nazajutrz całemu wojsku polskiemu kazał na koń siadać, przez odnogę morską przepłynęliśmy i wyspę zdobyli Konie były już do pływania próbowane, który źle pływał to go między dwoch dobrych mięszano, niedając mu tonąć.

Zimę przebyliśmy pod szwedzką fortecą tłukąc się ustawicznie, potem poszliśmy do prowincyi Jutlandyi i pułk nasz stanął w Arkuzen. Znalazłem tu kraj bogaty: trunki dobre, osobliwie miody; ryb rozmaitych siła; a chleb to z grochu, bo tam tego wielka rodzi się obfitość. Miałem tam różne uciechy i zabawy o które w Polsce trudno, albo przypatrując się łowieniu ryb najrozmaitszych rodzai, albo pływając po morzu kiedy woda cicha, to stanąwszy w bacie spokojnie, ujrzało się rozlicznych zwierzów morskich i ryb cudownych; osobliwie też w miejscach, gdzie jest trawa na dnie z której sól robią. Tę trawę białą jak śnieg rwą osękami żelaznemi, puszczając je na dno na długim sznurze; wyciągniętą suszą, palą i z popiołów sól robią bardzo dobrą. Nie tylko trawa ale i ziemia jest tam taka, że wypłókawszy ją na misie, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny sól się zsiada.

Skoro się ociepliło oblegliśmy zajętą przez Szwedów fortecę Friderichs-Odde. Po długich bójkach Szwedzi nie czekając szturmu, na okrętach uciekli. Jak tylko dowiedział

się o tem ich król, zaraz z królem duńskim począł o pokój traktować. My też otrzymaliśmy królewskie listy, aby do domu powracać. Zostawiwszy wtedy w Danii półtora tysiąca ludzi naszych pod dowództwem Piaseczyńskiego, szliśmy nazad do Polski, a minąwszy granicę podziękowaliśmy Panu Bogu, że nam dał w dobrem zdrowiu oglądać miłą ojczyznę.“

Tyle przepisaliśmy z historyi pana Paska, a teraz jeszcze kilka słów wam powiemy o tej Danii gdzie się znowu krwawa toczy wojna.

Otóż Dania ta to kraik nie wielki, bo nie większy jak połowa naszej Galicyi, liczy ledwie dwa miliony mieszkańców, kiedy u nas w Galicyi jest ich przeszło pięć milionów. Większa połowa tych mieszkańców siedzi na półwyspie połączonym ze stałym lądem Europy tylko wązkim przesmykiem, druga połowa siedzi na wyspach które otaczają na morzu półwysep ten. Oprócz Kopenhagi, stolicy tego państwa, nie ma w Danii wielkich miast, bo też to Dania to nie handlowy ani przemysłowy, ale jak nasza Polska rolniczy kraj, a przytem i rybacki. Koło roli chodzą Duńczycy bardzo pięknie i starannie, choć tam grunta bardzo jałowe. Dobrą uprawą roli jednak robią, że mają zboża do syta i wielką moc pszenicy, żyta, jęczmienia i grochu sprzedają cudzoziemcon. Kartofli także dużo sadzą a i rzepak sieją bo go dobrze spieniężyć mogą. Prócz zboża siła koni, bydła, masła, wełny, skór i najrozmaitszych solonych albo wędzonych ryb, także tranu za granicę swego królestwa na sprzedaż wyprowadzają. Lud wiejski ma się tam dobrze bo podatki są tam nie wielkie, pijaństwem się nie bawią, ale albo w polu robią, albo płótno tkają, bo to tam prawie każdy z nich tkacz. Poddaństwo i pańszczyznę która za dawnych czasów we wszystkich krajach istniały, zniesiono w Danii wcześniej niż u nas bo jeszcze przed sześćdziesięcioma latami. Jedną jednak biedę mają, a to że lasu tam bardzo mało. Radzą więc sobie jak mogą. Belki i deski sprowadzają sobie z zagranicy, najwięcej z Norwegii, a w domach palą węglem kamiennym, albo torfem, który już pan Pasek widział i opisał. Jeżeli się gdzie lasek zdarzy to bukowy, bo to tam najochotniej rośnie. Lasów więc tam mało, ale za to wód,

piasków i rozmaitych pustek nie brak. Lud na wyspach i w północnej części półwyspu mówi językiem duńskim, który jest bardzo podobny do języka szwedzkiego. W części południowej Danii, mówi lud językiem niemieckim.

Innym razem może wam napiszemy więcej co o tej Danii i o owej wojnie polskiej w tym kraju.

Ołtarz Matki Boskiej Bolesnej.

O! nasz kościółek chociaż tak mały,
Ha! nie wiem zresztą jak tam dla kogo,
Dosyć w nim miejsca dla Bożej chwały,
Piersiom przestronno i duszom błogo.
Taki ozdobny choć nie bogaty,
Taka w nim cudna czystość do koła,
W święto go zdobią pól naszych kwiaty,
Na świece nasza wosk robi pszczoła.
W wielkim ołtarzu Chrystus na krzyżu,
Z koroną cierniową na krwawej skroni,
A w bocznych zaraz przy nim w pobliżu,
Święty Stanisław, święty Antoni.
Lecz jest tam jeden ołtarz na boku,
Przed nim w najszczerszej upadam skrusze,
I gdy się modlę z krwawą łzą w oku,
Jak kroplę rosy wnet ją osuszę.
Bo tam królowa, zorza zaranna
Co w cieniach życia promienie nieci,
Z siedmiu mieczami Najświętsza Panna,
Pełnem miłości obliczem świeci.
O! jej łzy święte na zbladłej twarzy
Gdzie ani cienia ziemskiej sromoty,
To nieprzebrany skarb dla nędzarzy,
To zdrój pociechy sercu sieroty.
Na ten ja ołtarz w wiosenne ranki
Już od lat wielu zawsze codziennie,
Pierwsze fiołki, pierwsze sasanki,
Najświętszej Pannie znoszę niezmiennie.
Na tym ołtarzu, też ku jej chwale
Dotknięta dolą sieroctwa srogą,
Złożyłam zmarłej matki korale
I krzyż po ojcu pamiatkę drogą.

Przed nim się modlę każdego święta,
I nie chcąc wadzić ze wsi nikomu,
Nie pcham się między inne dziewczęta,
Bo tutaj tylko jestem jak w domu.
A choć łza rzewna po licu ciecze
Coraz się coraz modlę goręcej,
Bo w łonie Matki najświętszej miecze
Mówią mi: „Ona cierpiała więcej.“
I łacniej znoszę co los przeznaczył,
Gdy zbawca z krzyża duch mój oświecił
Kiedy wśród męki wrogom przebaczył
I grzeszne plemię Matce polecił.
A kiedy smutna między drugiemi
Sierocym wzrokiem rzucę przed siebie,
I tak mi pusto na Bożej ziemi,
Dwie matki za mnie, modlą się w niebie. *(Km.)*

Wdzięczność sieroty.

Nie bardzo to tam dalekie czasy, bo wcale jeszcze nie starzy pamiętają ludzie, kiedy we wsi Topolińcach żył Protazy Kociołek. Byłci z niego kmieć całą gębą, miał wszystkiego po uszy, chyba mu tylko jak to mówią ptasiego brakowało mleka. Sierdził on się z tego niezmiernie, a gdyby to padło na innego, toby nie zadzierał tak bardzo nosa, ale żyłby spokojnie z każdym i dziękował Bogu, że pozwolił rodzicowi dla swego synala tyle przysporzyć dobytku. Bo i w samej rzeczy Protazy po ojcu jako jedynak otrzymał całą spuściznę — sam własną pracą ani paździorka jednego nie pomnożył w chacie a i tak nadymał się jak bąk nieprzymierzając, z czego się też niejeden śmiał w duchu i ganił zarozumiałego Kociołka.

Mając takie gospodarstwo, zamiast jąć się do pracy, aby coraz więcej przysporzyć grosza, próżnował każdy dzień boży, nie zważał, że dzieci przybywa i coraz dla nich więcej będzie potrzeba — dumny z wszystkiego palił sobie fajkę, chodził od sąsiada do sąsiada i chwalił się, że niczyjej łaski nie pragnie i jeszcze drugim potrafi udzielić pomocy.

— A za pozwoleniem mój kumie — chwycił go za słowo stary Jakób — kiedy macie na tyle, nie moglibyście ano wziąść do siebie Kostusia, syna po nieboszczyku Szczepanie Smigoście, a dziecko to spokojne, zmyślne, musi się tułać po domach, boć sierota nie ma stałego kąta.

Rozjędyczył się na to Protazy, i chcąc nie chcąc tak zagadał:

— I cóż wy myślicie że mnie nie stać iżby jedna chudzina więcej była w mojej chacie? Mam ci ja chwałać Bogu dosyć na to, i nigdy mnie nie zabraknie!

— Ej nie wiele mię to tam patrzy, ale na mój głupi rozum wolelibyście nie wołać: hop! boście jeszcze rowu nie przesadzili. Zaś koniec końcem jeśli chcecie to i zaraz mogę Kostusia zawołać i pójdzie z wami.

To bardziej dopiekło dumie Protazego, owoż całą siłą machnął ręką i zawołał:

— A to lećcie kiedyście taki gorączka, mnie wszystko jedno.

Nie żartował Jakób, wdział sukmanę i nie zadługo przyprowadził małego Kostusia.

— Aha to to ten chłopczyna! — zapytał się z szyderskim uśmiechem Protazy.

— A ten, i cóż nie szwarny? — powie Jakók.

— No dobrze, dobrze, niech idzie do mojej i powie kto go przysłał — dodał Protazy.

A Jakób poderwie i mówi:

— I jakże to będzie wyglądało? Chłopczyna nieśmiały, żona go ofuknie, rozpłacze się i pójdzie kędy go oczy poniosą.

Protazemu nie trzeba było więcej. Zezłoszczony porwał chłopca za rękę i wyprowadził z Jakóbowej chaty.

— I cóż ty myślisz robić z tym chłopcem? wsiadła Protazowa na męża gdy z Kostusiem przybył do domu. Nie mamy my to sami dosyć dzieci i jeszcze obce sprowadzasz śmiecie?

— Trzeba to dla oka zrobić — powie Protazy — niech ludzie nie pyskują, że człek dobytku ma tyle, a nikomu nic nieda. Ja chcę przecie za dobrodusznego uchodzić...

— Nie będzie on tu długo śmierdział — przerwie żona — zkąd przyszedł tam pójdzie!

— To niechtam — odrzeknie Protazy — gdy pójdzie, powiem że próżniak, niecnota i kwita.

Od tego czasu rozpoczęła się cierniowa męka dla Kostusia sieroty. Codzień bardzo wcześnie musiał wstawać do roboty, późno wieczór kłaść się na spoczynek, bo żona Protazego koniecznie go chciała tym sposobem wykurzyć z domu. Jednakże Kostuś znosił wszystko cierpliwie, rąbał drzewo, czyścił w stajni, pasał bydełko na błoniu, i wtenczas czuł się najszczęśliwszym bo sobie mógł zanucić smutną jaką dumkę albo inną piosnkę, czasem znowu swobodnie wyrzynał sobie z drzewa figurki i różne drobiazgi.

Wierniejszego i pracowitszego od niego nie było w całej chacie Protazego, a pomimo tego Kociołkowa najbezecniejsze na niego wymyślała mowy, codzień poszturkiwała i potrącała Kostusiem, który nieraz od zmęczenia ledwie nogi wlókł za sobą, a przecież chodził on ukradkiem co wieczór za ogród do krzyża i przed nim modlił się szczerze i za każdą razą jak odchodził lżej mu było na duszy.

— Tak zawsze nie będzie — mawiał niekiedy do siebie — i mnie Bóg nie zapomni, toć nie zapomnę wywdzięczać się Protazemu.

I myślałby niejeden, że jakie grzeszne myśli roił sobie w głowie, ale potem przekonacie się jakie on to ma zamiary.

Protazowa codzień to gorszą okazywała się dla Kostusia, przeklinała go jak najchaniebniej, a jednego wieczora wypędziła go z domu. Zaś było to za to: Posłała go ze skopcem po mleko do stajni. Kostuś szedł powoli, bo w skopku pełniutko było mleka i bał się żeby się nie rozlało.

Zaperzona Protazowa wybiega z chaty i nuż złorzeczyć Kostusiowi i popychać go niemiłosiernie. Kostusiowi zamąciło się w głowie i jakoś nie chcący wypuścił z rąk skopiec i rozlał mleko.

Wtedy Protazowa wzięła kij do ręki, zaczęła okrutnie bić Kostusia i wołać w niebogłosy:

— A ty mizero świata, gałganie i dziadu, ruszaj z mojego domu, nie marnotraw mojej pracy, niech cię psy gdzie rozjedzą, ja cię więcej nie potrzebuję.

Kostuś sierota rozpłakał się żałośnie, zabrał swoją czapczynę i poszedł do starego Jakóba. Jakób uwierzył wszystkiemu, co mu Kostuś opowiedział, ponieważ już dawniej od drugich słyszał o obchodzeniu się Protazowej z Kostusiem.

— Zoztań u mnie mój chłopcze — powie Jakób — co ma kto na ciebie wymyślać, kiedy ja znam twoję uczciwość, twoje dobre serce, a jak umiałem kochać twojego nieboszczyka ojca, któremu daj Panie Boże niebo, tak i ciebie potrafię. Jakoś to będzie. I tak niedawno umarł mój kochany syn Piotruś, zastąp mi go ty w chacie, weź jego książki i chodź sobie do szkoły.

Kostuś uchwycił dobrego Jakóba za kolana i dziękował mu ze łzami w oczach za przytułek, którego nie odmówił biednemu sierocie.

Kostuś odtąd chodził pilnie do szkoły i niebawem ukończył wszystkie szkoły w owej szkółce z wielkim pożytkiem. Xiądz proboszcz i pan dziedzic cieszyli się bardzo z pilności Kostusia i dali mu w złoto oprawną xiążeczkę, aby ją czytał i nie zapominał nigdy o nauce. Jak tylko przyszła niedziela, Kostuś otworzył xiążeczkę, Jakób z domownikami obsiedli go w koło i słuchali co Kostuś o dawnych mężach polskich czytał, jak oni kochali swoją ojczyznę i jak jej służyli.

— I jabym z duszy chciał służyć krajowi — mówił Kostuś do Jakóba — ale do tego potrzebna jest nauka. O! jakżebym ja się uczył — wzdychał sobie i poglądał na Jakóba.

Jakóbowi zaszkliły się łzy w oczach, uchwycił Kostusia za szyję i rzecze:

— To głos święty mówi z ciebie, chłopcze! Gdyby mię było stać, posłałbym cię do szkoły, wszelako jakkolwiekbądź bodaj na pół roku zapłacę ci wikt i stancyę w mieście, kupię xiążki i papiery — potem może cię Bóg jako opatrzy, albo i ja jak lepsze będą czasy, a człek na to zapracuje.

Podziękował Kostuś życzliwemu Jakóbowi i nie minęło dwa tygodnie, Kostuś chodził już w mieście do szkoły.

W jedną niedzielę, a było to jakoś przy końcu półroku od czasu jego pobytu w mieście, modlił się Kostuś pod chórem w kościele i tak się zatopił w modlitwie, że wszyscy wyszli już z kościoła, a on o tem nie wiedział. Wtem przychodzi ku niemu braciszek klasztorny, złapał go za kołnierz i powiada:

— Toś to ty ptaszku zakradł się tutaj aby co smyknąć z kościoła?

Chłopiec zaczerwienił się po uszy, braciszek dla większego przestrachu bierze go za rękę i prowadzi niby do przełożonego klasztoru.

— Ale przez miłość Boską — prosił się Kostuś na kurytarzu właśnie przed celą przełożonego — ja nie miałem złej myśli, tylko modląc się zostałem sam jeden.

Wyszedł przełożony, spojrzał na braciszka i pyta:

— Co to za chłopiec?

Na to braciszek zarumienił się, spuścił oczy do ziemi i ani słowa nie powiedział.

— Chodź ze mną! — rzekł przełożony do Kostusia, który pełen obawy wszedł za nim do celi.

— Po co cię to przyprowadził braciszek? — zapytał po chwili przełożony.

Na to powie Kostuś nieśmiało:

— Byłem teraz w kościele, modliłem się na książeczce i tak jakoś byłem uniesiony podczas modlitwy, żem ani nie wiedział jak ludzie powychodzili po nabożeństwie. Przyszedł do mnie braciszek i myśląc żem ja się zaczaił ukraść co w kościele, chciał mię przyprowadzić do xiędza jegomości. Ja zaś choć jestem sierotą nie zrobiłbym tego nigdy na świecie.

— A zkądeś ty chłopcze? — wtrącił znowu zakonnik.

— Ja jestem z Topoliniec — rzeknie Kostuś — mój ojciec nazywali się Szczepan Śmigost i byli ubogim wyrobnikiem.

— Szczepan Śmigost! tyś syn jego!! — wykrzyknął zadziwiony xiądz jegomość — o dla Boga tać jestem brat jego i nic o nim lat kilka nie wiedziałem. Czy żyje jeszcze?

— Nie żyje już xięże dobrodzieju! — odpowiedział Kostuś.

— A któż ciebie utrzymuje? — zapytał teraz przełożony.

A Kostuś całując go w rękę tak powie:

— Z początku byłem u Protazego Kociołka, ale tam nie mogłem wytrzymać, wziął mię potem do siebie stary Jakób, dawał mię na wsi do szkoły i teraz zapłacił mi tu w mieście na pół roku wikt i stancyę, która mi się już za tydzień skończy, potem nie wiem co mi przyjdzie począć?...

I otarł sobie chusteczką zapłakane oczy.

— Bóg cię tu do mnie sprowadził — odparł xiądz — ja ci wyrobię mieszkanie i jedzenie w klasztorze i będziesz spokojnie mógł chodzić na naukę.

Nie umiem opisać tej radości jaka przejęła małego sierotę. Zapłakany całował xiędza a swojego stryja, po rękach i nogach aż mu tenże kazał wstać i iść do domu.

Za tydzień był już Kostuś w klasztorze. Mając tam wielki spokój, uczył się z większą jeszcze ochotą, czytywał różne xiążki i tak mu spiesznie upływał miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Niekiedy we wakacye, to jest wtenczas kiedy po ukończeniu roku szkolnego uczniowie dwa miesiące mają wypoczynku, pojechał na wieś dla odetchnięcia świeżem powietrzem, dla przypatrzenia się tym zielonym błoniom, na których pasał bydełko, spiewał piosenki i nie jednę gorzką ronił łezkę. Zaś najwięcej dla tego jeździł on na wieś, aby odwidzić staruszka Jakóba i jego córkę Halkę, do której miał wielką miłość. Dziewczyna to była ładna o niebieskich oczkach i jasnych włosach, a delikatna jak rzadko która miejska. Kostuś przywoził jej z miasta podarunki, bo i ona pamiętała o nim, gdy się z nią bawił w ojcowskiej chacie. Czytywała xiążki, których jej Kostuś dostarczał, umiała wszelakie roboty, a jak ci wyszyła włóczką Kostusiowi na imieniny czapkę, to mu omało serce nie pękło z radości.

Miłość pomiędzy Halką i Kostusiem trwała ciągle, bo i w późniejszych czasach nie ostygła. Ukończywszy przy pomocy swojego stryja xiędza wszystkie szkoły, został doktorem i pojechał do miasta na mieszkanie.

Kiedy przyjechał do Topoliniec ubrany po pańsku, stary Jakób nie mógł go poznać, tak się odmienił niezmiernie. Wszyscy ludzie nie mogli się nadziwować, że z Kostusia sie-

roty mógł się zrobić taki pan znamienity, a to ich bardziej zadziwiało, iż Kostuś nie gardzi Jakóbową strzechą.

Halka wyszła do ogrodu, rozpłakała się serdecznie i fartuszkiem ocierała oczka. Przyszedł ku niej Kostuś i wziąwszy ją za rękę tak powiada do niej:

— I cóż ty mię nie kochasz już więcej moja Halciu?

— I gdzieżbym ja cię mogła kochać, kiedy ty pan taki a ja prosta wiejska dziewczyna!

— A przez kogoż ja się stał tym panem? — przemówi Kostuś — Nie przez kogo innego jeno przez twojego ojca. Jemu się to chcę odwdzięczyć biorąc ciebie za żonę — pójdź niech nas pobłogosławi.

Przyszli oboje przed ojca, padając mu do nóg, a Kostuś tak się odzywa:

— Teraz pobłogosław dzieci twoje, bo one się kochają i śmierć je tylko rozłączyć może!

Stary Jakób zrosił się łzami, oczom swoim nie wierzy, zdaje mu się że to sen tylko, złudzenie, lecz wreszcie ściska klęczących i wymawia:

— Niech się dzieje wola Boska, ja was błogosławię razem z moją Jadwigą, a niebo cieszyć się będzie waszym związkiem:

Powstali oboje młodziankowie i zaraz poszli donieść o tem xiędzu. Xiądz przyjął na zapowiedź i za trzy niedziele całe Topolińce brzmiały weselem. Dorodne wiejskie pary i miejscy ludzie uwijali się w tańcu, tylko Kostuś był czegoś smutny.

— Co tobie mój kochany Kostusiu? — pytała się go z przymileniem Halka.

— Oj przykro mi bardzo — odrzeknie Kostuś — że Protazy Kociołek na mojem weselu być nie może.

— Nikt mu przecie nie życzył choroby — zagada Halka — sam sobie winien. I dzieci mu podobno chore..

— Aj tak, tak — zalamentował Kostuś — biedny z niego człowiek!

Trzeba bowiem wiedzieć, że Protazy jak za czasów Kostusia w jego domu, tak i później nic zgoła nie robił, chciał

sobie lekkim żyć chlebem, ale mu się nie udało. Robota w polu i koło domu nie smakowała mu nigdy, owoż wziął się do handlowania końmi. A że to był człowiek bez nauki i doświadczenia, stracił wielkie na tem pieniądze, handlarze pozabierali cały inwentarz i jak pierwej był dumnym i opryskliwym, teraz słał się ubogim i pokornym. Bóg na domiar nieszczęścia zesłał na niego i dzieci chorobę, w której nie miał ich kto ratować, bo Protazy każdemu gorącego sadła zalał na skórę.

Kostuś odchodząc dzieciakiem z jego domu, zrobił sobie postanowienie odwdzięczyć mu się kiedy. Owóż codzień chodzi do jego chaty, leczył jego i dzieci, posyłał za własne pieniądze po lekarstwa do apteki i niebawem Protazy przyszedł do zdrowia. Kostuś tymczasem pojechał z ukochaną Haliną do miasta, nie zapomniał jednak o lepszej pomocy dla Protazego. Będąc u jednego xięcia, któremu szczęśliwie wyleczył dwoje dziatek, dostał od niego sporo pieniędzy, wtedy przypomniał sobie Protazego, wsiadł do bryczki i pojechał do Topoliniec.

— Macie tu mój Protazy — powiedział doktor Konstanty — trzydzieści dukatów na zapomogę za dany mi przytułek w młodym wieku. Wycierpiałem się u was nie mało, niechcę, wam tego pamiętać i Bóg wam tego niech nie pamięta, który kazał kochać bliźniego swojego. Tę wam tylko dam jeszcze przestrogę, żebyście się nie pysznili gdy przyjdziecie do dobytku, ale pracując ustawicznie, bądźcie uczciwi i skromni.

Pobladł z zadziwienia Protazy, osłupiała jego żona a Kostuś poszedł do pana dziedzica, wstawił się za Protazym, dlatego też pan dziedzic odstąpił mu kawałek pola, dał trochę drzewa, a gdy Protazy chwycił się na prawdę do roboty widząc, że pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki, przyszedł do lepszego mienia, a nie był już nigdy zarozumiałym i lekkomyślnym. Stary Jakób mimo starości swojej odbył pielgrzymkę aż het do Rzymu dla podziękowania Bogu za szczęście, które go w starości spotkało. Nie długo starowina umarł w rodzinnej wiosce, gdzie żył znowu dobrze się mający gospodarz Protazy a w mieście szczęśliwi i weseli mieszkali Konstantowie.

Tak to moi mili praca i nauka prowadzą ludzi do szczę-

śliwości na ziemi, owóż posyłajcie dzieci do szkoły, nie zagradzajcie im szczęśliwej przyszłości, bo i ojczyzna cieszyć się będzie nimi jak się cieszy Kostusiem, który do dziś dnia żyje w jednem polskiem mieście.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Smutny wypadek wydarzył się w Nowym Sączu. W pierwsze święto Wielkanocne, gdy w kościele parafialnym mnóstwo ludzi było zgromadzonych, w celu poświęcenia pasek, powstał nagle krzyk i zamięszanie z powodu słabości pewnej kobiety. Gdy przytomni cisnęli się w jedną stronę aby zrobić miejsce w celu wyniesienia kobiety chorej, krzyknął ktoś z tłumu że się pali, ktoś inny krzyknął, że się kościół wali, inni znowu co innego wołali, tak że powstał okropny krzyk, płacz, lud zatrwożony zaczął się cisnąć, tłoczyć, ledwie zdołano go uspokoić, że ani kościół się nie wali, ani nie pali, ani żadne inne nikomu nie zagraża niebezpieczeństwo. W skutek złośliwej psoty jakiegoś nierozważnego człowieka, który pierwszy w miejscu świętem zaczął wykrzykiwać strasząc lud, zostało kilkadziesiąt osób w ścisku pokaleczonych.

ZDANIA MORALNE.

Wszędzie można ojczyźnie zostać pożytecznym,
Czy to pod wiejską strzechą, czy w mieście stołecznem.
Ten się tylko ma prawo zwać obywatelem,
U kogo dobro kraju, najpierwszym jest celem.

Co nas żywi do tego trzeba się sposobić,
Kto chce jeść chleb, powinien na niego robić.

Ani w radzie
Ni w gromadzie
Nigdy człeka nie osądzisz —
Bo gromada daje hart.
Lecz chcesz wiedzieć co jest wart
Staw samego, a nie zbłądzisz —
Jeśli próby sam dotrzyma,
To go w obec wroga staw —
A kto stanie i tam praw,
Dla tego już próby niema! *W. P.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.